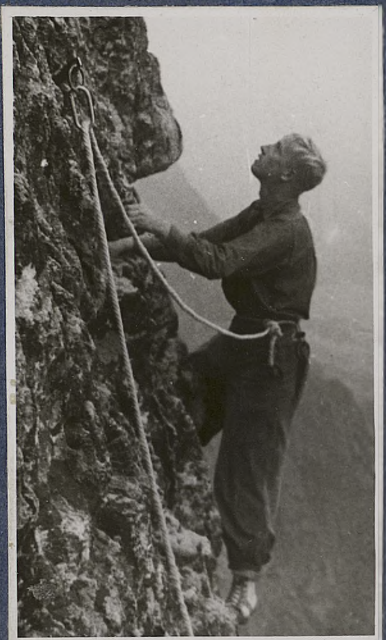
POKUTNIK



1947

4.

P O K U T N I K

Pismo włóczęgów górskich i łazików skalnych dolinek podkrakowskich

Nr. 4

T r e ś ć   n u m e r u :

K R A K Ó W

Opracowanie i nakład "Pokutników"



Minęło sześć lat.Lata te w okresie ich trwania były dla nas najcięższe.Zabrały nam naszych najbliższych,zmniejszyły grono taternickie o tych którzy w imię Ojczyzny oddali swoje życie.W tych czasem zdawało się beznadziejnych okresach,mimo olbrzymich niekiedy trudności,wypadaliśmy na niebosiężne turnie na szczyty,gdzie nas nikt dopaść nie mógł,na ściany,gdzie bezpieczeństwo było najlepiej zagwarantowane.Byliśmy ponad wszystkim. Szczęście ocenia się najbardziej w nagłem oderwaniu od przygniatających chwil.Nie opuszczało nas ono bo chwil tych było bardzo dużo.Do gór było daleko,nie raz byliśmy pesymistami,wydawały nam się odległe jak Himalaje,nie raz robiliśmy szybko rachunek sumienia górskiego,rachunek czysty i tęskny.Nie raz przeglądaliśmy nasze fotki z gór,byle rzucić wzrokiem ostatni raz.

Minął koszmar okropnych lat.Jesteśmy znów na drogach orlich,marzymy o naszych szczytach o letnich i zimowych wspinaczkach,o złocie wschodu i zachodu.Sześć lat tak uleciało jak sen. Mimo złych czasów,przynajmniej co drugą niedzielę piechotą czy też rowerem biegliśmy z miasta w nasze skałki podkrakowskie. Zawdzięczamy tym skałkom dużo.Praca w skale zmusza do myślenia

i wysiłku,jak różnem to było od codziennej roboty,przybitej troską o byt i własne życie.To też w te niedziele byliśmy najszczęśliwsi.Doszliśmy przez to dużej wprawy w chodzeniu po wapieniu.Wtedy właśnie robiliśmy najtrudniejsze wspinaczki,ćwiczyliśmy z ukrytą myślą o Mnichu i jego wschod.ścianie, a po jej osiągnięciu o zerwach Galerji Gankowej.

Co rok to może dla niektórych brzmi niewiarogodnie, byliśmy w Tatrach.Lecz żeby w nich być iluż i jak bardzo wykrętnych używaliśmy sposobów.W tym okresie sześcioletnim porobiono wiele pięknych wspinaczek.Każdemu wyjazdowi w Tatry towarzyszyła myśl może to ostatni raz.Wspomnimy tu że po zrobieniu Mnicha wschod.ścianą,kiedy w ścianie tkwiła swastyka kiedy przy Morskiem Oku był posterunek niemiecki gdy chwile naszego życia wisiały na włosku,jeden z nas wypowiedział na szczycie Mnicha zdanie "teraz kiedy ściana zrobiona ta która przez tyle lat nie dawała mi spać,mogę spokojnie umrzeć".

W tym czasie niepewności jutra,powstała myśl utrwalenia naszych włóczęg na piśmie.Powstał Pokutnik w którym zawarliśmy nasze myśli,marzenia i czyny.Daliśmy w nim cząstkę obrazu życia naszego,a Życie nasze było bujne,choć wyrosłe na skale.Idziemy dalej twierdząc uparcie żeśmy dopiero na początku górskich poczynań.

Przyczynek do filozofii włóczęgi.

Nader częste bywają chwile słabości włóczęgi.Między innemi kiedy zastanawia się nad idiotycznym pytaniem poco właściwie się włóczy,traci czas i pieniądze? Sprawa prosta jak obręcz.I czas i pieniądze to najwięksi wrogowie nasi, rzeczy obce i nieznane naturze.W prawdziwym życiu,w przyrodzie w naturze czas stoi,wbrew wszystkim astronomicznym pozorom. Wieczności nie można mierzyć zegarkiem.

W pogoni za pełnią życia idziemy właśnie w góry i gubiąc miasto,czas i pieniądze znajdujemy to,czego szukamy.Wracamy do natury to znaczy do siebie.W niej tylko jesteśmy naprawdę w domu. Wracamy na właściwą dziś dla wielu zagubioną ścieżkę życia.Na ścieżkę walki.Oddalając się od natury,płacimy drogo za swe zdobycze, za życie ułatwione.Płacimy słabością,degeneracją.Tracimy instykt, zagubiony w chaosie dociekań pseudorozumowych i pseudologicznych /tylko życie jest logiczne/,gubimy treść dla słów i pojęć pustych życie dla fikcji.W pogoni za łatwizną,za użyciem,za zyskiem stajemy się nie panem,ale niewolnikiem dóbr materialnych.Posiadanie i własność to niewola.Tylko zdobywanie i praca dają wolność. Rozumieli to wielcy zdobywcy.Posiadanie bierne dla samego posiadania jest jak sknerstwo,zjawiskiem patologicznym i godnym politowania.Co ważniejsze jest nie trwałe,a nawet nierealne:nie można posiadać niczego,nie walcząc.Ten problem walki jest zasadniczym problemem "sportu"wysokogórskiego,jak i żeglarskiego.Dla obu jest nie tylko powrót do natury,do pełni życia,ale przede wszystkim walka.Walka najszlachetniejsza,bo nie z drugim człowiekiem,ale z przeciwnikiem najhonorowszym,żywiołami natury i najniebezpieczniejszym,najupartszym:ze sobą samym,z własną słabością.To też góry wysokie są obok mórz,niezbędnie potrzebne do życia człowiekowi, są bowiem potrzebne do walki.Navigare necesse est,vivere non necesse.Odnosi się to i do gór.Na nasz język oznacza to:musimy się włóczyć po górach i zdobywać je.Żyć nie musimy.Dlatego walczymy nie tylko z górami,ale i o góry,o nasze prawo do nich.Walcząc o nie walczymy o nasze życie.Walczyć o nie będziemy wszelkimi środkami,żadna cena nie jest zbyt wysoka."Ideowym" przeciwnikom naszym,molochowi cywilizacji i rentowności,wielbicielom techniki, wygodnisiom i starcom,słabeuszom i tchórzom,obok pogardy,przeciwstawiamy i ten jedynie im dostępny argument:niech pamiętają,że burząc

góry podcinają jabłoń,rodzącą złote jabłka,że popełniając nieodwracalną nigdy zbrodnię na obliczu ziemi,nie przynoszą korzyści nikomu.Inwestycje techniczne w górach wysokich nie pociągną nigdy nas,nawet nie ideowych,a ideowe odstręczą.Tak zwane masy poszłyby w góry wysokie tylko wówczas,gdyby się im za to dopłacało,natomiast my włóczęgi górskie,gotowi jesteśmy płacić wspaniałomyślnie nie za to co jest,ale za to czego nie ma w górach,za to,że nie ma tam schronisk,że nie ma dróg,że nie ma znaków i ścieżek,drogowskazów, a przede wszystkim że nie ma gościńców,autobusów i kolejek,hoteli.

Osobną dopłatę do cennika,zapłacilibyśmy za brak ciepłej wody,światła elektrycznego no i przede wszystkim,za brak gospodarza.A już najwyższe ceny otrzymywalibyście za dostarczanie nam: potwornych,niespotykanych jeszcze lawin,halniaków,burz i zadymek borów i potoków nie do przebycia,ścian i urwisk nie do zdobycia, gór i mórz nieodkrytych nieznanych,nie zaznaczonych na żadnych mapach świata.

Dlaczego się włóczymy to jedno pytanie,którego nigdy nie potrafimy całkowicie rozwiązać.Drugie pytanie,to dlaczego właśnie tylko my się włóczymy,my najskromniejsza elita? Dlaczego tylko wybrani znajdują swą drogę do gór? Czy przepaść między nami, a masą ceprów jest rzeczywiście nie do przebycia? I ta sprawa jest prosta mimo wszystkie akademickie i nudne dyskusje.Tylko silni i młodzi znajdują drogę do gór.Poza tym droga do gór jest tylko pozornie drogą odkrywców,pierwszym przejściem:jest to tylko powrót do gór,powrót do przyrody,droga powrotna.Wracać do przyrody może tylko ten,kto z jej pierwotności wyszedł, kto ją opuścił,kto przeszedł całą drogę od niej ku miastu.
W przyrodzie nie ma prostych,wszystko idzie po kole,spirali: stąd najdalej idący pionierzy pojawiać się mogą za plecyma opóźnionych.Dublowanie,zjawisko nie rzadkie na bieżniach i to-

[illegible].Masy dólskie i wsi albo nie opuściły jeszcze przyrody-ciem i nie potrzebują do niej wracać,jak masy chłopskie,tęskniące do miast,bo tędy tylko,poprzez ich bruki wiedzie droga powrotna do wsi,albo-jak miejskie-nie dojrzały jeszcze do powrotu,nie nasyciły się tym bardziej nie przesyciły się jeszcze, sztucznym i niezdrowym pokarmem cywilizacji,łatwizną.Pierwotny człowiek natury jest nieświadomym,więc niewdzięcznym jej dzieckiem.Powrót do natury nie może być przypadkowym lub gorzej koniecznym powrotem do dzikości.Powrót ten musi być świadomy i dobrowolny.Awangarda wyprzedza zawsze masy:dla nas przyroda możliwie nieskażóna,piękna ,dzika jest znowu naszym domem rodzinnym, ale już inaczej.Nikt silniej,goręcej,serdeczniej nie ukochał domu ojczystego,jak syn marnotrawny gdy wraca.

Dr.W.Marcinkowski

O ideologii
Romantyźmie i zagadnieniach Taternictwa w ogólności.

Jesteśmy silni.Jesteśmy twardzi i surowi.Światem naszym są skalne olbrzymy,zaklęci woje,w szorstki przelani kamień.

Śpiącym rycerzom władanie drzemy z dłoni,orłom podniebnym królewskie rabujemy dziedziny.Kędy słońce się z wichrem w zapasach miota,rażące promienie targa podmuch zuchwały i jak pajęcze osnowie wiesza na cienistych złomach.Kędy się pieklą rozwarte czeluście głębią niedosiężną i jękliwą,gdzie nad urwistym żlebem rozkostrzewioną wiechą tańczy podrosła świerczyna.

Kędy się plezie w pośród złomisk chwytliwa fala kosodrzewu.Tam idziem!

Tam boską zmierzamy dziedzinę,urągowisko czyniąc skarlaną postacią człowieka,Naturze!

Nie pycha nas wiedzie.Nie cuda kraść,żeby je rzucić w tłumy.Nie ściągnąć skalne chmurowiska na padół nędzy i zmagań ludzkiego pokolenia.Nie cisnąć ideały w ciżbę bydląt roboczych i mięsa,żeby zakryć ropiejące zgorzela.

Idziem wzwyż.Nie Ikarowym lotem nad turnie,ale w środek tajemnego uroczyska.

Przyświeca nam w noc świetlisty płomień watry z pod pociemniałych smreczyn,grają gdzieś na pustaci czarty i dusze.Tłuką się po oblodzonych zerwach ścian,w pomroczy ogłuchłych żlebów, to Ci,którzy odpadli.

Tańczy gdzieś na lodowej posadzce stawu śmiertelny swój taniec bacowski Sabała,niby mgły podarte,niby dymy rozwiane, strzępią się Panny Lodowe na okólnych graniach.

Nie szukamy.Nie znajdzie tu nic,kto w pogoni jest za nowym czy starym.Co wiedzieć pragnie,czy zapamiętać chce.Co o siebie pyta,choćby się nawet Bogiem klął i twarzą spłakaną tłunił po piargach.

Nie myślim.W ciszy stoimy oniemiali,tylko się nad nami coś ogromne przewala.Żyły nam tętnią pod rozpiętą skórą,dygocą nerwy jak śpiewne struny.

Walczyć nam trza!

Włamać się niezmierzonym wysiłkiem w ten świat,rąbnięciem młota wyważyć z posad dźwigary,żeby Atlasowym trudem na swoje przenieść barki.Zdzierżyć i nie uledz,z topieli krwistego potu męki wychynąć ponad szczyty.

Niech nas pytają o cel.Niech skamlą o naszą ideę,nie mamy!Żyjem nieistnieniem,walczymy,a ginąć chcemy komuś ofiarą. Nam nie trza pociechy,nie trza uznania i chwalby.Nam światy gędzą,tylko się kłębi zwalisko chmur nad granitowym blokiem, tylko nam miesięczna poświata świeci,kiedy wypłynie spokojnym biegiem nad zygzakiem wierchów i przełęczy.

Marek Sobolewski

Sport zimowy

Zakopane.Szkoda tylko,że gór nie widać,bo je przesłoniła mgła.Mieszkańcy nizin i tak używają wypatrując z okna Gubałówki,czy innych lokali zakopiańskich / pełnych górskiego powietrza / w cudną mgłę osłaniającą szczyty i stoki,by poprzez nią ujrzeć rycerza - stróża Tatr,by poprzez oszronione smreki ujrzeć Giewont,otulony czarodziejskim puchem śnieżnym.

Ulice pełne dzwonków,gwaru życia.Zapaleńcy desek nie narzekają na marne warunki.Wprawdzie niewiele śniegu,bo wymiótł go halniak,ale mimo to roją się zbocza Kasprowego,mnóstwem ceprów,co to w obawie o całość swych kończyn zapomnieli o swych codziennych kłopotach i troskach,entuzjazmują się nartami,ruchem,i wogóle... wogule wszystkim.

Szkoda tylko,że śnieg w tym roku taki twardy i na miłośnikach sportu zostawia przykre ślady w formie mniej miłych stłuczeń. Lecz czegóż się nie robi dla sportu,gór,które jak magnes ciądną zapracowanego mieszczucha.

Od czasu do czasu poprzez rozbawione gromady i gromadki przemknie się zwinny narciarz,wzbudzając podziw a zarazem zazdrość, że się nie potrafi być tak szybkim,że się nie potrafi latać ponad świerkami,a potem żyć radośnie,odważnie - wesoło.

Tak - bo po takich wyczynach,można się śmiać beztrosko, całą duszą,gdy się zakosztowało rozkoszy pędu,gdy świstało w uszach,a wreszcie odpoczywało w górach pamiętających zbójnickie czasy,Żyć w tej krainie czaru - baśni - wysrebrzonej igłami szronu,wyzłoconej najpiękniejszymi promieniami słońca,gdy się patrzyło na roje gwiazd,szczyty zaspane w szafirowym śniegu,na pyzaty księżyc,który mówił nam,że jesteśmy - odważni.

Za szybko mijają chwile.Przed oczyma znów staje widmo obowiązków,biurka,pozostaje nadzieja,która szepce kusząco - do przyszłych świąt,marcowego śniegu i pastelowych krokusów.

Marysia Kozień

T E R E N Y   W S P I N A C Z K O W E
Alp podkrakowskich.

I. Wstęp.

Szkic niniejszy ma za zadanie ogólne zaznajomienie łazików skalnych z terenami wspinaczkowymi Jury krakowskiej.Ze względów praktycznych,omawiam w nim jedynie doliny cieszące się największą frekfencją,a więc Dolinę Bolechowicką,Kobylańską,i Będkowską.

Nie będzie to wcale przewodnik wspinaczkowy po tych trzech dolinach - osobne opracowanie tego rodzaju jest już

prawie gotowe - chodzi mi tylko o zorientowanie topograficzne najważniejszych skupisk w tych dolinach oraz ustalenie ich nomenklatury.Punkt ostatni został opracowany głównie na podstawie danych,zebranych przez Pokutników.Obejmują one zarówno nazwy używane przez ludność miejscową,jak i nadane przez turystów, a w szczególności przez Pokutników.

Wszystkie trzy wymienione doliny leżą na pn-zach.od Krakowa,oddalone odeń o 15 - 20 km.Ujścia ich wychodzą z pn. sciany zapadliska tektonicznego Kraków - Krzeszowice.Bieg ich jest południkowy z pn.na pd.,przy czym oczywiście zbaczają również i w inne strony świata,a poza tym wysyłają na boki odnogi w postaci nieraz dużych bocznych dolinek.Dnem dolin płyną potoki / z wyjątkiem Doliny Kobylańskiej /,gdzie częściowo zanikł/, zasilane po drodze źródłami.Skały w przeważnej części występują ze zboczy dolin tak,że wszędzie niemal można wejść wygodną ścieżką,rzadko tylko spotyka się pojedyncze monolity skalne,tworzące smukłe turniczki,nieraz dosyć wysokie /np.Iglica w Dolinie Będkowskiej/25 metrów wysoka.

Tyle o ogólnym wyglądzie dolinek.Przechodząc do ich szczegółowego opisania,muszę podać parę objaśnień.

Dla ułatwienia orientacji w terenie,będę się posługiwał głównie trminami prawy i lewy,gdy będzie chodzić o całe grupy skał,stronami świata zaś,opisując poszczególne twory skalne w obrębie danej grupy.Prawy i lewy - będę używał posuwając się od ujścia doliny do jej początku.To samo będzie się odnosić do odgałęzień od dolin głównych.

II. DOLINA BOLECHOWICKA,w gwarze ludności miejscowej /ze Zelkowa/nosi nazwę Cydzówek.

Dojście:ze stacji kolejowej w Zabierzowie drogą do wsi Bolechowice do jej końca pn.,po czym po kilku minutach wchodzimy do wąwozu / łącznie 50 minut /,do którego wejście tworzy Brama Bolechowicka.Stanowią ją skupiska skalne,o bardzo urozmaiconej rzeźbie.

Lewa strona /zachodnia/Bramy - grupa Filaru Pokutników, najwyższy filar w tej grupie,30 m.,posiada najładniejsze drogi wspinaczkowe w Dolinie Bolechowickiej.Najłatwiejsze wyjście wspinaczkowe na szczyt Filaru Pokutników stanowi Wielka Grań Bolechowicka,idąca z pd.na pn.zach.Jest to najdłuższa /terenowo,nie

[illegible] droga we wszystkich trzech dolinkach,pozbawiona jednak większych efektów wspinaczkowych.Mimo to porównywano ją w swoim czasie z granią wsch,Niebieskiej Turni w Tatrach.Na przełączki w grani wychodzą dalsze bardzo popularne drogi od zach.:Komin Adeptów oraz Rysa Łazików /nazywana często niewłaściwie Rysą Wallischa/ Od zach.wiodą jeszcze na szczyt Filaru Pokutników trzy drogi: Rysa Redaktora oraz dwie rysy prowadzące mniej-więcej środkiem Filaru.Są to wszystko drogi pokonywalne jedynie przy użyciu techniki hakowej,czyli podciągu.Strona pn.zach.Filaru Pokutników stanowi jakby olbrzymi mur skalny.Na wyróżnienie zasługują tutaj drogi:Trawki i Komin Górki.

Prawa /wschodnia/ strona Bramy jest nieco niższa od lewej. Od pd.wsch.wiodą nań drogi:Rysa Wallischa /nazywana również od znajdującej się obok tablicy z jakimś napisem Rysą obok Tablicy/ oraz Rysa przez Tablicę /podciągowa/.Od wsch.tworzy prawa strona Bramy pionową ścianę,podobną do Filaru Pokutników.Wiedzie nią Rysa Abazego.

Posuwając się nieco dalej w głąb doliny,natrafiamy po prawej stronie na Grań Poprzeczną,trochę krótszą,ale bardziej urozmaiconą od Grani Wielkiej.Jest ona skierowana niemal prostopadle do biegu doliny,rozciąga się więc zatem z zach.na wsch.

Na przeciwko Grani Poprzecznej,po lewej stronie doliny, spotykamy grupę Zamarłej Turni.Nazwę tę nosi od ściany zachodniej skierowanej do wnętrza Doliny.Od pn.wiodą na jej szczyt trzy kominy:najbardziej na wsch.wysunięty Komin Turka,dalej Komin Paullego oraz Komin Siedleckiego.Wysokość Zamarłej Turni jest niewielka, ok.20 m.,wszystkie jednak drogi na nią należą do bardzo ładnych.

Grań Poprzeczna ogranicza od pd.wielką ścianę po prawej stronie Doliny,bardzo urzeźbioną,od licznych grot w niej się znajdujących nazwaną ścianą z Grotami.Specjalnie ładnych dróg wspinaczkowych,mimo swojego ogromu,nie posiada,jedynie droga środkiem ściany zasługuje na wzmiankę.

Byłby to krótko ujęty zarys terenów wspinaczkowych Doliny Bolechowickiej.Idąc dalej w górę jej biegu,napotykamy jeszcze na kilka mniejszych skupisk skalnych po stronie prawej,które jednak ze względu na swoje niewielkie rozmiary na wzmiankę szczegółową nie zasługują.

Adam Dobrowolski



Góry.słońce,nagość

Nieśmiało patrzę,spod oka,na smukłe,śniade dziewczyny i młodzieńców w spalonej radości.Dziewczyny są mało ubrane,i chłopcy także.W ich gładkich,bezwłosych naskórkach zaklęty jest blask, powietrze i młoda krew,ostry chłód wody górskiej i ostra świeżość górskiego słońca.Biegają po górach,kąpią się w rwących strumieniach nurkują w czarnych stawach,a potem napełniają schroniska swoim urokiem i czarem.W mojej "krawatce" wpiętej w "marynarkę" umykam w las.Ale i las parny w słońcu dyszy jurną nagością.Ta sama zuchwała młodość,naga,miłosna,zwycięska.

Uchodzę z lasu,zagrzebuję się w zadrukowanych betach. No,nie jestem z moją awersją odosobniony.Ów rozdziera szaty nad "złymi obyczajami",ów,miotając się w gniewie,nazywa je "ordynarne i chamskie".Ten widzi w nich źródło wszelkiego zła w Tatrach / może nawet przyczynę budowania kolejek?/,tamten,o krok dalej, woła o nakazy,zakazy,straż górską i prokuratora.Nawet Trenker z zagranicy basuje tym głosom,uwielbiany Trenker alpinista,byczek, gwiazdor,bussinessman,kabotyn.

Takimi sprzymierzeńcami nie czuję się zbudowany.Tyle krzyku o trochę nagości? Robi się nieco nieprzyjemnie.Spodenki kąpielowe i szorty,pidżamy i lekkoatletyczna nagość gorszą ludzi o duszy ceperskiej,temu nie mogę zaprzeczyć.Ale ja,na miły Bóg, nie jestem ceprem.Z ceprami i źgacami nie chcę,by mnie cokolwiek łączyło.Ja znam Tatry nie tylko z werand schronisk i klamer orlich perci.Znam pustynność i mróz Tatr grudniowych i sto szla-

rów,na których spotkać nie mogłem nikogo,gdyż byłem na nich w ogóle pierwszy,pierwszy od początku świata.Mój trop nie był tropem ceprów.Przenikał się z nimi czasem,krzyżował - nigdy nie przebiegał wspólnie.Błąd w rachunku chyba więc po mojej tkwi stronie?

"Nie mówi się o tem w Polsce,że kobieta ma kolana"westchnęła ongiś pani naturalistka Zapolska.Ale szły już na emeryturę czasy,gdy "królowa hiszpańska nie miała nóg":niebawem kolana wywalczyły sobie prawo istnienia,wychyliły swe buzie spod sukien, przestały być tabu i łakomym omenem myśliwych.Strój z boisk i plaż stał się naturalnym elementem zdrowego tła wolnych chwil, gorszącym tych chyba,których gorszą pończochy na manekinach w wystawach sklepowych.Pogodzono się - od biedy - z "niemoralnością" na plażach,ale od gór jej wara!Patronem naszym ów proboszcz z Podhala,który wyżenił z świątyni narciarkę,bezwstydnie deprawującą wiernych:ośmieliła się nieboga na nabożeństwo niedzielne wejść do przybytku Pańskiego w ...komplecie narciarskim /zamiast pójść na słońcem zalane wzgórza poflirtować z towarzyszem/.

Dobrze się wgryzł w pamięć luty mróz,ale pamiętam i przedwiośnie w marcu,gdy przez gościniec u stóp gór maszerowałem obnażony do pasa.Pamiętam lawinę w czerwcu,śnieg w lipcu,zawieję w sierpniu,mróz w wrześniu:ale czyż mogę zapomnieć długiej po sukcesie kąpieli słonecznej na wierzchołku Krywania,jesiennej kąpieli w przegrzanym stawku o brzydkiej nazwie /Kobyli/,ciepłego deszczu w głębi Ciemnych Smreczyn?Stepowo spalało słońce pobrzeża Dniestru,woda była łagodna jak w wannie,trzy kompanie żołnierskich ciał pławiły się,opalały i ćwiczyły w nakazanej nagości.Choć ziębił wiosenny Bałtyk,tak samo szedłem w nim nagi,jak w ciepły uścisk kokotki Adrii.A czyż odeszła ze wspomnień siesta nad Kaczym Stawem,godzina Nowoleśnych Turni,nagi,majowy sen pod słońcem Środkowych Gorganów?Nie chcę starczej golizny na ścieżkach i może mnie rażą buduarowe negliże w naftowych izbach schronisk. Ale czemuż mam wzbraniać śniadej i młodej nagości,gdy jest fabryką zdrowia,gdy w słońcu palącym gór zakwita i rośnie słońcem, nim,nieśmiertelnym słońcem.

Nie powlokę się w ogonie maruderów...Skoro raz sięzdobyłem na zmianę przekonań /nawyku i urojenia/,będę do końca konsekwentny.Nie uznaję panienek brzdąkających na fortepianie,

obcy mi typ turysty na niedzieli – do czegokolwiek się bierzesz, człowiecze, powinieneś mieć ideał rekordu przed oczyma. Ale z szarego końca dobiec do pierwszych szeregów, czy nie za szybki zwrot? Widziałem przyjaciół i kolegów, opalonych na bronz pozornie bez zarzutu, których pas białego ciała na biodrach pobrzydzał i karykaturował do groteski. Tego stanowczo należy unikać. Na ustronnych i zapadłych perciach, po ubocznych dolinach i nad zapomnianymi stawami wrastam prawdziwą nagością w przyrodę, prawdziwą jak ja chciałem być. "To ciało alabastrowe...to ciało białe jak marmur"... Przez skórę swobodnie daną dniom powietrza i słońca przyroda stawała się bliższa, bardziej przyjazna i własna. Zdawało się, jestem jej częścią, jej czuciem. Może dopiero wówczas?

Przez Przełęcz Koprową przechodziłem w butach, z plecakiem na karku – i w pływkach. Wtem z mgły wyłonił się turysta, spojrzał i przeszedł mimo. Potem napisał do rocznika archiwalnej "Ochrony Przyrody", że spotkanie obnażonego młodzieńca zepsuło mu całą radość chwili. Moim cielesnym przymiotom nie miał nic do zarzucenia, tylko tak, zasadniczo: nazwał mnie Panem Szkodliwym i zjawiskiem gruboskórnym. A ja pomyślałem dobrodusznie, kiwając głową: jesteś ceper, boisz się świerzego powietrza, opatuchałeś się w jegery i swetry choć pot ci kapie z czoła, ale może masz krzywe nogi albo pierś owłosioną jak małpa? Rozeszliśmy się, obaj zadowoleni z siebie, choć nie ze spotkania...Trudno ludziom dogodzić.

Pewien filozofował: kobieta naga – to obraz, kobieta naga w pończochach – to pornografia. Jednym z bardziej artystycznych fotoaktów, jakie widziałem, to fotos nagiego narciarza na zalanym słońcem lodowcu. Ale narciarz, choć nagi, miał stopy w narciarskich butach. Przez góry mogę chodzić nago, lecz nie boso. Przyznaj mi jednak, miła, że jeszcze tym nie obrażam kanonów przyzwoitości-..

Chcę i w uśmiechu zdrowia być pierwszym, chcę i tutaj mieć rekord hartu i śmiałości. Nic to, że nago dążę przez śnieg Jaworowej Doliny: na śniegu błękitno-złotym słońce opala się nago, a słońce u szczytu kwietnia jest mocne i zdrowe jak narciarz norweski. Nic to, że z Władkiem Jamburem po zapadliskach Miętusiej i Wantul szukam owcy zgubionej, jak skarbów, a skarbów jak owcy zgubionej: szedł przez Tatry dzień letni, choć jesień wzdłużała mu cienie. I nic to, że ośmielam się kąpać w przymarzającym Pustym Stawku, że w pełni październikowego schyłku wędrując po opusto-

białych górach, dopiero późnym wieczorem, u progu Zakopanego wdziewam spodnie i /odrazu/ sweter. Sam klimat gór wzbrania nudyzmu! - wołają. Pozwala on na nudyzm częściej niż sądzisz, o mieszkańcze miast! Pozwala on na nudyzm od marca do października, czasem już w lutym i jeszcze w listopadzie. Pozwala on na nudyzm zawsze gdy świeci słońce /a czym jest nagość w głębi gór, już wiem/.

Gdy świeci słońce... Pewien zamierzchły /sprzed pierwszej wojny światowej/ teoretyk taternictwa i autor o jego zasadach książki, wysmażył w niej głęboką myśl, że pogoda tylko "miłym dodatkiem" do wykonywania wycieczek. Sentencja ta zdobyła sobie nieśmiertelny rozgłos wśród ludzi gór w Polsce. Pomijając już bowiem, że chciałbym widzieć autora śmiałego aforyzmu w czasie niepogody na modernistycznych drogach najtrudniejszych trzeba przyjąć, iż obca była również świadomość, czym ma być czynnik pogody na wyprawie: nie dodatkiem, lecz założeniem /stwierdzam to ja, który-m i drogi nadzwyczaj trudne próbował przechodzić i przechodził w niepogodzie /: i co więcej:

czymże jest dzień gór bez słońca, czymże bez słońca przyroda - nawet tu, na majówce podmiejskiej? Urwisko, dolina, las górski - wszystko, co tworzy kraj Tatr - dopiero przez słońce wzbiera sensem i stać się może doskonałością. Gdy niebo nad Tatrami jest czarne, gdy smuży je deszcz lub śnieg, walka o ścianę jest trudną próbą życiową: dolina w chmurach i w mgłach to życie, codzienna orka /i żniwo/. Ale dopiero słońce - to szczęście, dopiero słońce - to miłość.

Był naród, który wspaniałą cywilizację stworzył w głębi wysokich gór, jeden z największych fenomenów ludzkości. Bogiem Inków po miastach wyżej wzniesionych niż Alpy było Słońce. Wstępowali na olbrzymie szczyty, by do słońca się modlić, słońcu składać cześć. Religią ludzi gór jest słońce.

W jesiennym czy wiosennym, w letnim czy zimowym słońcu wędruję uroczyskiem Tatr, opalam się w złotych upłazach i w złotych nurzam stawach. Płomienny pożar alpejskich lodowców parzy ciało niebacznie odkryte. Potem nawet w afrykańskim słońcu Atlasów ośmielam się nago iść wyniosłym grzbietem, nawet pod mroźnym słońcem zamarłej Puna de Atacama odważam się chwilami mróz równać ze śniadą skórą. Nad dolinami, nad skalistą roślinnością

piarżysk niezmiennym schematem wznoszący się świat zerw,rządząc się własnym prawem opiera się memu prawu.Nawet wówczas,gdy słońce lipcowe zbliża kopce wierzchołków do kopców granicznych wśród pól? Minęły śnieżne lata,pełne kurniaw i mrozu zimy,dnie w mgłach, w naremnicach,w zawiejach,dnie w których strój wyznaczały mnichy i nasze polskie olodzenie czy obco-cudze verglas.Słońce lipcowe szczyt Tatr równa z plażą lipcową południa.O południowym dniu, pełnym,gdy słońce lipcowe znużyło moich przyjaciół i kazało im zaszyć się w las ku jezioru,spoglądam samotnie w nieznany żleb, progami wznoszący się w ścianie.Przyjacielu,czy znasz mą tajemnicę? Gdy skóra zbiegnie się z słońcem,znika zmęczenie i słabość. Ileż to razy,wlokąc zgarbione upałem ciało,wraz za wstąpieniem w nagość wstępowałem w nowy wymiar sił.Znikało znużenie jak po długim śnie,spocona skóra odzyskiwała suchą elastyczność,mięśnie prężyły się do nowych trudów i uścisku.Słońce wskrzeszało mnie i odradzało.Przez wiele gór dochodzę do słońca na szczycie nieba,przez słońce podchodzę po istotę gór.

Dwie obce młode istoty zabłądziły i trwożnie pytają o drogę.Lipcowe złoci słońce ich złote dziewczęce brzuchy.Podnosząc się z posłania,wyjaśniam i wskazuję,uśmiecham się do ciemnych ramion.Żegnamy się jak przyjaciele,a grecki dzień każe mi mówić o nimfach.Wchodzę w nieznaną ścianę,w której progami werżnął się żleb.Z progu na próg pnę się w pion,nie wspinam,wzbijam się niematerjalnie i bosko,jak ptak,skrzydlaty stwór,anioł.Jeno końcami palców i podeszwą butów dotykam żywiołu ziemi.Jakby bez dotknięć przechodzę,przefruwam przez piękną,godną lotu ścianę. I już wierzchołek?Już szczyt.A słońce na upłazku i głazach soliska - upaja silniej niż wspomnienie dojrzałej miłości.Tak budzę się,/czyż zasnąłem?/,a słońce znieruchomiałe przepaja w ekstazę rekord.Czyż narcystyczny wir uczuć może unieśmiertelnić iskrę chwili?iskrę momentu?Jak to notował Proust?-:"Człowiek składa się tylko ze zbioru chwil".Mgnienia zbiegają się w życie,iskra zmienności w jedności.Góry rozdzierają się jak zasłona przed arką przymierza.Każdy szczyt jest słowem i każdy blask jest słońcem. W nieskończoności słońc - wnikam.

Tak gdy schodzę - a słońce na niebie wciąż trwa - rozumiem,że nie zdołam przywrócić już tego,com w liczbie i opisie rekordu wyrażał.Pionowe i niedoszępne podeszły zerwy i przeszły.

Przeszedłem je i odszedłem.Musiałem odejść,musiały odemnie odejść.Lecz nie żałuję młodości,choć stworzyć z niej chcę mą legendę.Mimo,że niema rekordu,słońce nie przestaje się zbliżać. Czy dojdzie?czy powróci?-

Komentarz

Dnia 28 lipca 1933 roku,gdym jako pierwszy/samotnie/ przeszedł zach.żleb Szczyrbskiego Soliska,ok.2320 m /w wejściu/, a zach.stronę Młynickiego Soliska,ok.2301 m/w zejściu/ - zrozumiałem,że miejski trud o dobro codzienne zabrał mnie zimie taternickiej i odciął od letnich największych triumfów:że może zdobędę jeszcze tysiąc nowych dróg,ale nie wywiodą one już na szczyt: i ze rekord najważniejszy gór jest mój,po kres mego życia.

Listopad 1941 J.A.Szczepański

K A Z Ł O N I L E Z O ...

"Niech bedzie pochwolony"...

Na wieki...

"To sie i kumoterek tak wczas wybroł ?"

Ano widzi kumosia,ze i jo zrywom sie nie ostatni,a tu jesce taki łanny dziń to sie i wstać chce i na mszo trza nie spóźnić,a i z jakim takim o różnościach na smentorzu coś nie coś pogodac.

-No cóż ta słychać nowego u wos,mójeśty kumo?- E...nic ta takiego dokumentnego,jak zreszą wiecie-poataremu:charówka i charówka:tyle co ta w tą niedziele człek odpocnie.

No przecie dziń świontecny lo spocynku.Mój kumoterecku, patrzcie sie ino!

-Wzdy kaj?- No wele kuźni!Nie widzicie to jak lezo... głowy im ino widać i te strasiecne plecoki.

-Aha,juz widze.Wicie,Józefowo,stanijmy se troche-o,tu na mostku,jesce cas momy przede mszom,to sie im lepi przypatrzymy.

-Troske możemy juści.Ho,ho!Psisko naprzód wali,jakby mu sie spiesyło,taki biały z cornym...nawet śwarny...

-Cie...przecie pajski.Za nim wlece sie ten cerwony z ta-

...m nosym jak u Sękory z gór,całkiem Kusmyj.E to widać starsiejsy, bo se pirsy snago i na tych z tyłu sie ano ino oglondo.Co... jako to ich kupa i kaz to wszystko lezie?

Cisej Józefowo,bo przecie bedo słyseć,ze o nich se pogwarkujemy.

"Dzien dobry gospodarzu!"

--A dziń dobry,dziń dobry,a wom ta jako?

"Doskonale!!!"

--Dajcie ucha Józefkowo-widziekiście to i dziouchy śmiri ...do.No,prześli,podźmaz powoluśku.

--Niech bedzie pochwolony.-Na wieki.I wy tyz,Andrzejkowo nie zasypiocie?

--Ano,dyć ta stary nie do.

--A nie inacy i mówie wom somsiedzie Wojciechu,ze tyz to tak temu chce sie rano ano wcas wstać i walić późni taki kumet drógi.--Moja kumko-taki człek jak jo,to se ta idzie do kościoła z Bogiem sie pojednać,rzetelnie pomodlić,późni w domu troche ze starom o gospodarce,jako ze wolniejsy cas,pogodać i na psysły tydzień plan roboty obkalkulować,a łoni se ta wiatrów szukajo i jakiesik kumedyje po nasych skałach pokazujo.



-Niech bedzie pochwalony...pochwalony...

--Na wieki..na wieki...

--Bo trza wom wiedzieć,że jak zwożom,to łoni już kupe lot tak chodzo.Ale chdźmy tutaj na bok odrobinke,bo tu ludzie przechodzo i trzebaby im odgadywać,a tu se niewiele ło nich opowimy.

-O jej to tyz jagem sła roz w Cydzuwek z moim chłopym,

ton ich zobocyła,jak se wisieli na jakisik linach,jak te nieprzymierzając nietopyrze.Zarozem se pomyślała,mój Ty Boze,cóżeś Ty za ludzi stworzył?-ludzi cy małpy,ze sie ano tak po takich ŝtromych i strasiecnych skałach hawok ano uwijajo.I co za bies cy jakie złe licho wyganio tych tak wygodnych miescuchów z miasta,by sie hawok mordować,z życiem rezykować i co gorse przyodziwek,taki straśnie drogi,niepotrzebnie wycirać.Juz bym ta nic z tego nie pedziała,by jak inne wycieckowice,jak juz przydzie ta świento niedziela,troche se zażyli nasego świzego powietrzo,a niechby se ta i położli trosecke,ale tak jak te palamentry wydziwujo,to jus nie wiem,cy nie jest jako obrazo Bosko,abo inny strasny grzych.No, abo to robić,to jest grzyszne przeciw człowiecenstwu,bo Pon Bóg człowieka stworzył,zeby chodził se ano po świenty ziemi,a nie spinoł sie jako inne jakiesik stwory.Zreśtą nieoblicone są wyroki boskie w swoi mondrości.Moze na to są tacy ludzie,aby pokozać innym zdrowym,jakie som ułomności ludzkie,a moze,jagym słysała od duchowych osób,na to są juz tacy ludzie potworzoni,zeby mogli pokutować za życie za strasne grzychy swoich ojców,cy jesce downiejsych przodków.Tyle tylko,ze łoni o tym nie wiedzo i myślo se ano,że to tako ich rozrywka.Ano pikno rozrywka he..he...nima co pedzieć.Hm...ale to jakoś mi sie nie rozświetlo,zeby se ano takie dziwowiska wymyślali,to coś inksego zdo mi sie.Tu w tym coś być musi,co lo nos prostychludzi pamłoką zaćmione pozostaje.I człowiek nie wie juz naprowde co o tym pomyśleć i różnie miarkuje i we fte i we fte strone i...nikaj wyjścio...a nareszcie do ostateczności doprowadzony pedzieć musi,ze chyba jako siła strasecno nieludzko moc,abo-li duch jaki przeklenty,jageście słuśnie juz pedzieli,który sie w ich duszy zataił i koze im to dokazywać,od cego ludzie porzonni zdala sie pewnikiem trzymajo i Świentych na pomoc wzywajo,od takiego dopuszczenio.Momy przecie na to stare dowody z nasy wsi i pewnie bocycie,jak nieboscyka Jó zka Bienia-Panie świć nad jego dusą-diabeł w przebraniu ludzkim cało nocke po śnigach włócył i różne kieronki pokazywał,byle ino chłop do domu nie trafił.A sed nieboscyk z miasta do wsi i po dródze juz zaciemniło i tak go po różnych ścieskach oprowadzoł ze chłop od bolu nóg aze stenkoł i dopiro sie,gdy jutrzenka pirso nad ranem pokozała,ocucielił i złorjentowoł,ze zamiast do Bolechowic,to na Biały kościół zased.I jak som późni opowiadoł,zeby moze

wszystkiego był unikoł,ale se doscentu znaku krzyza przepomnioł. I to prowda ze na różny sposób człowiek pokuty znosi.Jo największo abo mom od swoi baby,a pono za to,jak mi staro Wilcyno pod sekretym wyjawiła,zem jo od staropaniejstwa wybawił i tak sie mści na mnie wiecnym ujadaniem,aze cłek od tego babskiego klekotania doscentnie ogupioł.Ale co do nich to ta juz w głowach cosik pokrencono majo.

A majo najświency...kaz to w domu sie wylezo,same smarowane jedzo,nic se ta nie robio,to ta i nie dziwota,ze im sie besterfrantów zachuźwo.No to sie ino na oko tak wydaje,bo cegóż,ale niksi wiatroki tego nie robio,przyjado-li to powyzyrajo,co ta majo,trowe wylezo,trosecki pobaraśkujo i jado skond przyśli. A ci ?Całkiem odmienni,inacy spendzajo wolne chwile i są tak inni,ze dziwacni aze.Nie pytajo sie nikogo o nic,ani nawet Pana Boga o pogode,ino cy dysc,cy pogoda, cy wiatr,cy błoto,łoni zawse som.I wiecno jakoś bida pcho ich w to samo miejsce,by choć poźryć na skały,gdy ślizgie są od dyscu,abo zimne od mrozu.Jednym słowem śtraśny sport i jagym oszacował to diabelnie ryzykowny,a ci go wyprawują co za siłe muso mieć,zeby wydolić takiemu spinaniu,takiemu naginaniu,takiemu chwytaniu pazurami,takiemu darciu sie do góry,a co za głowe twardo muso mieć.

Oj! to kumoterecku,to juz świento prowde mówicie.Jo,jak wyjde na cworty scybel na drabine,to mi sie juz we łbie krenci, a łoni tak wysosierno wyłazo i jesce se jak na obraze bosko,jak słysałam i pogwizdujo,no wicie,co za to kołtuny przemierzłe?A jakie to twarde..nicym stol,a odwazne,jaze dech w piersi zapiro.A niech ich ta Pon Bóg mo w swoi Opiece Przenajświency chocioz mi sie az w ocach ćmi,a w dołku smenci,kiej se cłek wspomni,jak łoni,tak łazo, brr...az mnie zimno obleciało.J jesce mnie to korci,cy w razie jakiego,co nie daj Boże!przypadku dusa takiego chociazby krześcijański pogrzebek otrzymo,a moze to jakie heretyckie zizmatyki,to ta i dusa niewiele worto?

Tego ta juz nie wiem kumosiu,ale tak sie mi zdaje,cy on katolik,cy iksy wiary to w Boga wierzyć musi,moze nie bardzo,gdy po ziemi chodzi,ale gdy zawiśnie na linie i nima nikaj za co sie chycić i gdy mu dusa ze strachu na ramieniu juz siedzi,to Boga dyrckiem wspominać musi i dokumentnie go przeproszać.No dyć prowda! Ale,ale Wojciechu,my se tu gadu,gadu,a w kościele cichutko,pewnie ksiondz juz kozanie głosi,a my tak rozprawujem nad takimi dziwostwor-

...ymi ludźmi. A tośmy sie rozgodali, o Jezu, a dyć grzych śmiertelny nos ceko za spóźniacke, bos tych tam pokutników.

9.II.45. Bolechowice. Karol Kozera



W pochmurną niedzielę

Drobny deszczyk siąpi i spływa grubymi kroplami po szybie wagonu. Za oknem przesuwa się tak dobrze znany nam krajobraz. Co niedzielę to samo. Tylko że zwykle jedzie nas kilku, a dzisiaj jadę sam. Czy napewno sam? Bo może tym samym pociągiem jedzie jakiś zapóźniony kolega, a może ktoś z innej paczki, z kim będzie można coś zrobić. Jeden i drugi przystanek, wreszcie wciągam kaptur na głowę i wysiadam. Każdemu pasażerowi z plecakiem zaglądam pod daszek czapki czy kapelusza. Stwierdzam jednak z przykrością, że niema nikogo znajomego. Bo pewnie. Komu by się chciało na taką pogodę. Na to trzeba mieć już całkiem źle w głowie. Jechać na cały dzień, przemóc, zmarznąć, nie zjeść porządnego obiadu, poobtłukiwać się na tych skałach, i jeszcze wmawiac w siebie, że robi się to dla przyjemności. Niech djabli taką przyjemność. Żeby jeszcze była pogoda ale tak!

Tak rozmyślając wysunąłem się na czoło długiego sznura ludzi maszerujących w kierunku zabudowań. Deszcz przestał padać przejaśnia się, a zarazem i mnie jakoś jaśniej się robi na sercu. "Nie ma nikogo, pal ich licho! Dolinki bez nich też są ładne", pocieszam się w duchu. A może jednak Abaz przyjedzie na rowerze, jemu deszcz napewno nie przeszkodzi." Idę coraz prędzej. Wchodzę w dolinkę Będkowską, i tu ukazują mi się porozrzucane na stokach skałki. Podchodzę do najbliższej "macam" sucha ! No to dobrze. I znowu prę-

dzej,prawie biegiem.Mijam domki,pstrągarnię,i spoglądam bystro w stronę bocznej dolinki,z której może ktoś nadejść.Ale narazie nie widzę nikogo.Po chwili słyszę wesołe szczekanie i widzę jakiegoś pieska,wybiegającego w podskokach z za skały.Za nim zbliża się charakterystycznym podrygującym krokiem,figurka z ogromnym worem na plecach.Tak oni!Pim i Abaz!No w porządku.

Witamy się.Pierwszy wyskakuje na mnie i liże mnie po twarzy,szczeka,a drugi ściska mi rękę i pada stereotypowe:

No jak tam?

W porządku.

No to dobrze!

I maszerujemy teraz razem,gadając,a że skała sucha.A żeśmy się dobrze spotkali,że ten to,tamten tamto,i t.d.I wreszcie:

Co dzisiaj robimy?

Chyba iglicę,od drogi.Chociaż nie wiem,bo lało trochę, a to pono bardzo trudne.Właściwie to mam ochotę ale się trochę boję bo to przewiecha jak cholera.

Zrobisz to obojętnie,pociesza mnie Abaz.W półtorej godziny nie dłużej.

Co?półtorej godziny?Przeciesz to klasyczna droga?

Tak!Ale w jednym miejscu trzeba się haka przytrzymać. Zresztą zobaczysz że zrobisz obojętnie.

Dochodzimy tymczasem do młyna,gdzie mamy znajomych.Zastajemy tam kilku znajomych wspinaczy,którzy przyjechali już wczoraj t.j.w sobotę i właśnie wybierają się /godz.9/na wspinaczkę.Pytamy się co chcą robić?Patrzą znacząco na Sokolicę,Abaz przegląda ich haki i stwierdza że są nie odpowiednie."Brak wam długich-cienkich" mówi z tymi szkoda się zabierać.Ale róbcie jak chcecie."

No to będziemy robili coś na Igliczce,odpowiadają.

Na takie dictum zbieramy prędko nasz sprzęt i gnamy pod iglicę,aby wejść w skałę zanim tamci przybędą.I rzeczywiście. Ledwie się związałem dwoma linami,włożyłem pantofle i wyszedłem kilka metrów,już byli przy nas.Ale na szczęście ich zamiarem była druga strona turniczki.

Droga początkowo łatwa,nagle staje dęba i puszcza coraz trudniej.Decymetr po decymetrze zdobywam całym wysiłkiem mięśni, wbijam jeden i drugi hak dla asekuracji.Znajduję się teraz w dość głębokiej rysie,w którą wklinowany jest podłużny głaz.Obejmując

go,znajduję chwyty dla rąk a drobnych stopieńków muszę szukać w głębi rysy,przez co pozycja moja staje się coraz bardziej wywieszona.Jednak posuwam się ciągle dalej do końca rysy.I tu,Stop! Nade mną wisi okap zamykający rysę od góry.Żadnej możliwości przejścia ani wbicia haka.Wtulam się w szczelinę między głazem a ścianką i krzyczę:

Abaz !Co dalej?

W prawo u góry,wbij hak!

Podsuwam się jeszcze trochę wyżej,wychylam na całą długość ramion,i rozglądam po ścianie.Jest.Dość wysoko pozioma szczelina.Cofam się,zmieniam na chwilę pozycję,żeby ręce choć trochę odpoczęły,biorę hak w zęby,i trzymając się już tylko lewą ręką wkładam hak.Trzy konwulsyjne uderzenia,szarpnięcie karabimkiem "czy trzyma",założenie liny i :

Ściągaj!

Aaa.Jak miło zwolnić choć na moment tak bardzo napięte mięśnie.Chwila odpoczynku i dalej.Droga w górę z odchyleniem w prawo całkiem łatwa.

"W"lewo słyszę z dołu,w prawo prowadzi zwykła droga. Ha!W lewo to w lewo.Trawers o bardzo skąpych stopieńkach,dalej w górę też nie lepiej."O,niedobrze"myślę sobie.A tu i ręce coś tak nie swojo pracują.Takie jakieś miękkie się zrobiły.Ale teren się nachyla,tu już lepiej.Do balkonika,z którego będę asekurował towarzysza już nie więcej jak jeden metr ode mnie.A tu jak na złość nie mogę znaleźć chwytu.Już i nogi zaczynają się trząść, a teren kruchy.Zmieniam pozycję,to tak to siak,ale nie mogę się naprzód posunąć.Jest jeden świetny chwyt ale się drań rusza, a tu do haka daleko,ze 4 metry,i nie wypada lecieć.Im dłużej tym gorzej,myślę sobie,więc łapię,ten ruszający się kamień,przyciskam go do ściany,ipowoli,powoli,winduję się na balkon.Tu już mam dobry chwyt,i stopień,i stoję wygodnie jak na ziemi.

"Wbijam haka",przypętlam się,i ściągam liny wołam:

"Chodź"

"Idę" słychac odpowiedź z dołu.

Zaczynam ściągać linę w miarę posuwania się towarzysza.Z początku prędko,po tym coraz wolniej rosną kręgi lin pod moimi nogami. Kilka razy lina staje i wtedy rozbrzmiewa szybki,gorączkowy, dźwięk młotka.Abazy w kilkanaście minut jest przy mnie.

Teraz on się przywiązuje,a ja idę dalej.Już nie daleko

jakieś 7-8 metrów.Krucho tu nieco,ale to nic,już bez wbijania haka dochodzę do szczytu.Znoeu ta sama historja z linami.Lecz Abaz zaczyna kląć.Nie może wybić haka,z którego asekurował.To z wrażenia wbiłem go tak mocno.Wreszcie wyszedł,i po chwili stoimy obok siebie, okraczając maleńki cypelek.Zakładamy liny i zjeżdzamy przez głowę kolegi,który wychodził z drugiej strony.Trochę szamotania się ze ściągnięciem lin,lecz i to się kończy.Zwijamy je,i patrzymy na zegarki:

"W godzinę jesteśmy na dole."

"Wiesz co"odpowiada Abaz "mówiłem półtorej godziny a myślałem że dobrze będzie jak zrobimy za dwie."

"To znaczy,ześmy to ładnie zrobili"mruczę,i czuję,że jestem w tej chwili szczęśliwy,że mogę to naprawdę sobie powiedzieć.Nie komuś,a właśnie sobie.I że przepełnia mnie radość.nie ta krzycząca, rozsadzająca piersi,lecz cicha a prawdziwa,będąca zarazem pragnieniem czegoś jeszcze większego,jeszcze trudniejszego,wymagającego jeszcze duzo więcej wysiłku,nię tylko fizycznego ale i moralnego.

Nic nie mówiąc,pomimo deszczu wracamy pobrzękując hakami przez dolinki do miasta.Po drodze myślimy o następnej niedzieli, kiedy znowu zejdziemy się,aby walczyć,zmagać się,i zwyciężać nie tylko skałę,ale i siebie samych,i wychodzić z niej coraz lepszymi nie tylko wspinaczami,ale i ludźmi.

/Chociaż niektórym i wspinaczka nie pomaga./

Zbigniew Krysa

„Frycowe"

Nie ma chyba taternika,któryby w swoich przeżyciach górskich nie zapłacił „frycowego".Jedni wkupują się małym kosztem, drudzy płacą sowicie za doświadczenie,inni wreszcie muszą opłacać się na raty za każdą nawet małą „nauczkę".

Wiele możnaby przytoczyć przykładów na ten temat.Niejeden też z adeptów a nawet z pokutników mógłby zebrać z nich nowe doświadczenia.W tym też to celu opiszę „frycowe"jednego z moich kolegów,od którego zresztą uzyskałem zgodę na spisanie prawie dosłowne jego opowiadania i w takiej też formie podaję ten opis.

„Jestem jak wiecie gorącym wielbicielem przyrody.W górach czuję się znakomicie.Szwankuje trochę serce,trochę nogi,z płucami

też nie bardzo wyraźnie,ale o tych małych dolegliwościach zapominam w górach.Część przeto urlopu rokrocznie spędzałem w Tatrach. W ostatnim roku przed wojną w Roztoce wypocząłem należycie,odbyłem następnie kilka mniejszych wycieczek i już zaprawiony odpowiednio fizycznie postanowiłem ruszyć na Gierlach.Jak góry,to Tatry,a jak wysokie – pomyślałem – to tylko Gierlach,jako najwyzszy szczyt w całych Tatrach.

Nie chcąc samotnie chodzić po górach,doczepiłem się do towarzystwa dobrze chodzących młodzieńców,z którymi zaprzyjaźniłem się w schronisku.Wybór mój padł na odpowiednie i dobrane towarzystwo.W rozmowie z sobą,prawie o niczym nie mówili,jak o problemach, ścianach,hakach,asekuracji,trawersach,auserach,kominach,zacięciach przewieszkach i chwytach.Szli akurat na jakąś ścianę czy grzędę w masywie Gierlachu.Widocznie w tę samą,co i ja stronę.Na moją propozycję przystali ochotnie.Ponieważ chciałem po wycieczce na Gierlach pozostać jeszcze kilka dni u podnóża Tatr od strony słowackiej i zwiedzić Westerów,Kieżmark oraz Groty Bielskie,zabrałem z sobą cały rynsztunek i wszystkie zapasy.

Zaraz w kilka minut po wyjściu ze schroniska okazało się że mam doskonałych towarzyszy.Uginając się pod ciężkimi plecakami obładowani namiotami,linami i śpiworami,rwali żwawo naprzód,lecz nie zapominali o mnie.Niedaleko schroniska,na mostku,stanowiącym granicę polsko-czechosłowacką,gdym czuł się niepewnie na uginających się deskach jeden z towarzyszy wziął ode mnie laskę.Rzeczywiście bez laski szło mi się lepiej,lecz i tak nie mogłem nadążyć za towarzyszami.Wtedy znowu drugi odebrał mi termos,napełniony herbatą. Tempo marszu równocześnie zmniejszyło się znacznie.Po pewnym czasie już sam oddałem aparat fotograficzny,lornetkę,flaszkę polową z sokiem malinowym i wreszcie mapnik.Choć zmniejszył się w ten sposób ciężar i nic nie obijało mi boków i ud,plecak w dalszym ciągu uciskał dotkliwie barki i szyję.

Do polany pod Żabiem doszedłem strasznie zmęczony.Zaproponowałem odpoczynek.Wyciągnąłem pomarańcze i ciastka.Smakowały wszystkim znakomicie.Gdy zaś towarzysze zaznajomili się powierzchownie z zawartością mojego plecaka,orzekli,że jest stanowczo za ciężki i że trzeba dłużej wypocząć.Jeden z nich wydostał ze swego plecaka maszynkę do gotowania,drugi skoczył po wodę,trzeci nalał trochę spirytusu i za chwilę herbata była gotowa.Widząc te przygotowania

wydobyłem moje zapasy:bochenek chleba,ser,masło,cwibak,kiełbasę i sardynki.Ku memu zadowoleniu wszystko w przeciągu pół godziny przewędrowało do naszych żołądków.Towarzysze mieli apetyt lepszy niż ja i chwalili ustawicznie moją pomysłowość w doborze żywności. Wreszcie postanowiliśmy ruszyć w dalszą drogę.Plecak zelżał ale byłem tak najedzony,że z trudem poruszałem się za moimi przyjaciółmi.Po kilkunastu minutach musieliśmy znów odpocząć.Wyciągnąłem winogrona i jabłka.Dwa kilo będzie lżej - pomyślałem przy tym.Mimo to plecak dokuczał w dalszym ciągu.Słońce dopiekało,serce mi bić żywiej poczęło więc ostrzegłem towarzyszy,by zwolnili tempa.Przystanęliśmy za jakimś mostkiem pod smrekami.Przewertowałem zawartość plecaka.Zapasów było jeszcze sporo.Wydostałem przeto jabłka.Orzeźwiły nas wspaniale.Od tego miejsca szliśmy już bardzo powoli.Towarzysze zresztą sami doradzali,by nie spieszyć się, dyż nie ma po co, a na Gierlach wyjście jest dozwolone o każdej porze.

Wolno krok za krokiem doszliśmy do Polany pod Wysoką. Wyciągnęliśmy tam wszyscy maszynki do gotowania i zabraliśmy się do przyrządzania obiadu.Dań było kilka,gdyż moje zapasy dobrałem troskliwie.Przydały się konserwy rybne,kasza i makaron oraz pięć puszek konserw mięsnych. W czasie obiadu koledzy objaśniali mi gdzie się znajduję i jakie widzę dokoła szczyty.Po trzech godzinach spakowaliśmy swe plecaki,przy czym zauważyłem,że mój stał się wyraźnie lekki.Mogłem już teraz iść szybciej.Atoli po kilku minutach spostrzegłem,że zaczynamy podchodzić przez las pod górę.Z początku było nie tak stromo,lecz później dogodna ścieżka przeszła w wyboiste i przepaściste zakosy.Odpoczywałem więc /a ze mną i towarzysze/na każdym zakręcie.

Zegarek mój wskazywał południe,gdy doszliśmy w ten sposób do Doliny Kaczej.Widok stąd był przepiękny:potężne,wysokie masywy górskie,ściany,granie,żleby,urwiska,przewieszki,półki,zachodziki, platformy,płyty,kominy,grzędy,filary,żebra i trawersy.Byłem przytłoczony objaśnieniami towarzyszy,którzy w międzyczasie przygotowali maszynki i naczynia do gotowania.Uradowany wyciągnąłem dosłownie resztki moich zapasów.Dziw mnie nawet teraz ogarnia,gdy wspomnę,że tam tak gładko i szybko uporaliśmy się z nimi.

Gdym pakował plecak,było w nim już nic do jedzenia.Włożyłem przeto do niego wszystkie rzeczy,które nieśli mi przez cały czas towarzysze.Spojrzałem na zegarek:była godzina trzecia.Ostatnia

pora,by ruszyć dalej.Zwróciłem im uwagę .Oświadczyli,dziękując równocześnie za towarzystwo,że idą na Gierlach którymś wschodnim filarem i że przenocują w kolebie,gdzie wyraźnie wskazali drogę i kierunek,a na pożegnanie prosili,bym zaczekał na nich w westerowie po wycieczce na Gierlach.

Poszedłem tedy we wskazanym kierunku.Wlokąc się krok za krokiem,wywindowałem się na jakąś przełączkę,gdzie dostrzegłem wygodną,znakowaną ścieżkę,która prowadziła prawym brzegiem stawu nieco zalodzonego.-Przede mną i za mną szły grupki turystów,zdążających w tym samym co i ja kierunku.Po pewnym czasie minęło mnie kilka partyj.Jedno jednak towarzystwo złożone z trzech mężczyzn i dwu kobiet zrównało się ze mną i wszczęło rozmowę.Szli "na czeską stronę" i wyznali mi,że mają zamiar wyjść na Gierlach.Ucieszyłem się niezmiernie,gdyż z pięciu osób przecież choćby jedna powinna znać drogę na ten najwyższy szczyt w Tatrach.Stałem się od razu rozmowniejszy. Opowiedziałem im,że już chodziłem z taternikami,wymieniłem kilka nazw szczytów,a gdy skonstatowałem,że wywarło to na nich niebyle jakie wrażenie,pomyślałem sobie:"No teraz to ja będę opisywał granie żleby,filary,koniki,zachodziki,gzymsy,konie i półki".Słuchaczy miałem chętnych.Dopytywali się z zainteresowaniem,jak się to linę zarzuca na szczyt,czy takie jak na Zawracie klamry wbija się w skałę,czym się wierci dziurę w kamieniach na haki itd.Wyjaśniałem im te arkana sztuki taternickiej z fantazji,jak mogłem.Czas przy tym mijał szybko. Okrążyliśmy jezioro i zaczęliśmy podchodzić stromo w górę.Serce waliło jak młotem i coś zapierało mi dech.Nie wiedziałem jak zatrzymać na chwilę odpoczynku moje nowe towarzystwo.Wszystkie zapasy żywności i smakołyki wraz z taternikami pozostały w Dolinie Kaczej,wstyd mi zaś było przyznawać się,że tylko z trudem wlokę nogi.Zacząłem więc pouczać mych towarzyszy o zaletach "kroku alpejskiego" - zupełnie powolnego. Celu jednak nie osiągnąłem.Szli stosunkowo wolno,ale bez przestanku. Musiałem dla ambicji dotrzymywać im kroku,lecz w duchu przeklinałem i pusty termos i lornetkę i laskę i aparat fotograficzny i flaszkę polową już bez soku i mapnik.W dodatku w plecy niemiłosiernie grzał załadowany w plecaku pled,który żona kazała mi zabrać i podkładać sobie zawsze,ilekroć usiądę.Zły byłem i na siebie,żem to wszystko zabrał z sobą i na żonę,a wreszcie na Tatry,że są tak wysokie.

W takiej to determinacji,zadyszany,spocony i zmęczony do ostatnich granic dowlokłem się na jakąś przełęcz.Zejście z niej w dół nie było już tak męczące.W przeciągu krótkiego czasu doszliśmy do

schroniska.Rozglądałem się za Gerlachem,lecz wszystkie góry dokoła wydawały się prawie jednakowo wysokie.Zapytałem przeto gospodarza schroniska,gdzie jesteśmy.Wyjaśnił mi,że w "Zbójnickiej Chacie",zwanej przez polskich taterników "trupiarnią",a na Gierlach- chcąc się dostać,trzeba było iść przez przełęcz "Polski Grzebień" do schroniska "Śląski Dom".Wstrząsnęło mną do głębi to odkrycie,ale nie przyznałem się do omyłki moim towarzyszom.Obliczyłem dokładnie plecak,czy taternicy nie zostawili mi w nim przez niedopatrzenie kawałka choćby kiełbasy lub chleba i w rezultacie tej rewizji postanowiłem..zrezygnować z wycieczki na Gierlach.Na drugi więc dzień rano ku wielkiemu zdziwieniu całego towarzystwa,gdyśmy po śniadaniu już z plecakami wyszli ze schroniska,- oświadczyłem,że zmieniłem plan i pójdę granią.Pożegnałem się z nimi serdecznie,lecz nie wskazałem im kierunku.Z pewnością pomyśleli,że nie chcę chodzić po łatwach ścieżkach.

Późnym wieczorem dotarłem do Roztoki,gdzie cicho usiadłem w kąciku i przy herbatce przemyśliwałem,jakby się dostać nazajutrz najwygodniej do Zakopanego,.

M.B.

Ś w i n i c a   p n - z a c h. ś c i a n ą

Zmarznięty śnieg skrzypi pod deskami.Jest bardzo rano, uświęcona pora zdobywczych wspinaczy.Zaledwie same wierzchołki gór ozłociło słońce i jeszcze nie czuć jego działania w mroźnej atmosferze.

Z pod okapów Murowańca wysuwa się dwóch narciarzy i zmierza na szarą jeszcze od nocy północną ścianę Świnicy.Przez ramię przewieszona lina zdobi pierwszego,drugi zaś dźwiga pękaty worek na plecach,a ponad ich głowami sterczą szpice czekanów. Nie .Tu nie może być nieporozumienia.Więc kiedy z otwartego okna na piętrze wychyla się ciekawa głowa,biegnie za nami pozdrowienie:- "północna?Złamcie kark".

Już pierwsze podejście,do Gąsienicowych Stawków,okazuje potomności niezatartym śladem,że mężni taternicy byli szczęśliwymi posiadaczami raków,a pozostawione pod Karbem deski przynieśli widocznie na plecach!Prowadzi dalej kręty ślad do stóp ściany, jeszcze nie doszedł tam,już się urywa,skręca gwałtownie i tylko głęboko wdeptany śnieg zdradza miejsce dłuższego postoju.

Patrzymy stąd na cel wędrówki.Ogromna i ponura rozsiadła się Świnica przed nami.Języki słońca,liżące jej wschodnie zerwy podkreślają kontrasty.Czarne obrzeża złomów,szarawe masy śnieżnego puchu w zacienionych żlebach,nawet płyty przykryte popiołowym całunem.Wyżej lśnią się lodowe ostrza grani i brylantowym migotem rażą urwiska podszczytowe.

Jesteśmy wielcy.Oto próba.Nozdrza nasze wietrzą już problem,a oczy widzą przed sobą w złudnym mirażu lodowo-skalne zręby Mięgusza.Czujemy zimno noclegu,chłód poranka i marzną nam niemal końce palców.Złudy to tak rzeczywiste,że nie widać z poza nich uwielbiających spojrzeń i wyrazów uznania w zacisznym gabinecie Jaszcza.Zasłania je marzenie walki.Walki z górami i sobą..

W tą ciszę kwietniowego ranka wpadł głos.Strzał głośny, brzemienny,i rozszedł się echem po kotlinie,obijając o szczyty i zbocza.Z szumem sunęła lawina,zakotłował się żleb wschodniej ściany,z pod słońca runęła jak bystra struga,fala śnieżnego pyłu. Rwała okapy i nawisy,wylała się poza brzegi,zepchnęła ze złomów ściany ukryte deski i rozbijając się o sterczące progi grzmiała w tysiącznych rozgłosach.

Biały tuman przesłonił masyw skalny i delikatna mgiełka drżała jeszcze długo w powietrzu.

Mimowoli spoglądnęliśmy obaj z wdzięcznością ku niebu. Szczęście,że nie stało się chwilę później.Może już tylko odciski raków,może kawałek liny stercząc w pośród bieli znaczył by ślad ludzkiego istnienia.Z mozołem drapiemy się ku przełęczy.W tyle została ściana,w tyle u stóp jej został drobniutki pyłek i kilka małych grudek lawiny,znak większy jak pod rynną schroniska..

Na szczycie Świnicy

Wszystko jest tak jak w piosence."Choć się w dali kłębią chmury,ponad nami lazur nieba",tylko góry,góry są przecież pod pod nogami,stoimy już jak na progu!

Tylko wychylić się trochę odważniej,naciągnąć szyję, a ujrzałbyś ocienioną przełęcz Zawratową,a gdyby było można wyciągnąć ją jeszcze troszeczkę tak o cal ponad przysadzistą postać Kołowej Turni,to przed tobą zjawi się nagle schronisko w Pięciu



Gdzieś z poza Gąsienicowych Stawków ciągnie się sznureczkiem,jak trop dziczyzny koronkowy ślad naszego podejścia na Mylną.Niby zgubiony kręci się ostrożnie między polami lawin i wystrzela na końcu ostrą prostą na samo siodło przełęczy.Sterczą jakby nietknięte zęby Zadniego Kościelca,nam na urągowisko,świadcząc ciemnym rysunkiem grani i świeżymi płatami dziewiczego śniegu, że nie koniecznie utrwala się to co najtrudniejsze.Wzrok jakby się bał uderzyć dalej.Starczą nam wrażenia tych gór w około,boję się że tęsknota i pożądliwe jakieś uniesienie zerwie nam struny odczucia.

Ponad pstrym grzbietem Granatów,we mgłach siwych,z nastroszoną czapą porwanych obłoków rozparły się Tatry Wysokie.Świecą rażącym lustrem oblodzonych ścian,jak zmarszczki na obliczu siwowłosego Boga ryją się bruzdami czarne krechy grani i filarów. Nie są pogodne,nie są tkliwe i kochające,ale wielkie.Chyba tylko w te masy bielejącego z dala granitu wcielił się Bóg,żeby zaświadczać wiecznie o swoim istnieniu.

Wzrok nasz tonie głęboko w dzikiej plątaninie wierchów. Myśli legły u ich stóp,nie śmieją wstąpić w ściany,pokalać swym dotknięciem pragnienia niebosiężnych szczytów.Zamiera mowa.Już mogę zamknąć oczy,a pod powiekami wyryte mam te skalne ogromy spiętrzone w piramidę świata,o których myśleć nie można,tylko czuć i kochać,i tęsknić...

Marek Sobolewski



SZCZYT TRWOŻNYCH PRZEŻYĆ

W miłej pogawędce szło nam się lekko i beztrosko, do dolinki za Mnichem. Kto powie, że ścieżka nie jest wygodna, szeroka, jedyna dla zakochanych par, pełna widoków. Snuły się więc zdania o ścieżce, górach i tych co po niej chodzą. Pogoda ładna, słoneczna, góry w całej okazałości odsłoniły wszystkie tajemnice. Dziś idziemy wolno, od niechcenia, przygięci pod ciężarem, przystajemy często. Jak dotąd to dobre bogi sprzyjają naszej włóczędze na skały. Te skały to wschodnia Mnicha.

Mamy zamiar położyć kres docinkom Korosada, który przy każdym spotkaniu nabija się z nas, że wschodnia niezrobiona. Ma rację i cóż było mówić. Wprawdzie nas przytkał rzetelnie mówiąc, że haki zostawione w ścianie, zostały wbite w zjeździe, ale sądzimy, że mówił to w żartach, gdyż o coś takiego trudno by było go podądzić.

Więc trzeba koniecznie iść i zrobić, bo tu wojna i niewiadomo, czy który z nas jutra doczeka. Ściana warta najcięższych trudów. Wspinaczka wybitnie hakowa, lecz daje dużo wrażeń. Dzień był piękny, Mnich stał w całej okazałości, wznosił się niepokaźnie na tle Cubryny nieco sztywny i nadąsany. Mnichu kochany, tyle przeżyć z tobą, że trudno dać temu wiarę. Ty jeden to wiesz no i my wiemy, przepraszam i inni też coś wiedzą.

Rozmawiając o tym i owym dowlekliśmy się w końcu pod północną ścianę. Celem naszym jest zrobienie trzydziestu dosłownie metrów wschodnią ścianą, by tem samem uzyskać połączenie od półek trawiastych do balkonika. Po przejściu tego odcinka cała droga będzie już wiodła ściśle wschodnią. Wchodzimy trawersem z północnego wschodu na półki trawiaste we wschodniej. Milcząco rozwijamy liny, rozdzielamy sprzęt, wiążemy się i Baca, poklepawszy skałę, poszedł pierwszy. Wyciągnął szybko piętnastkę. Przecierając oczy i poskrobawszy się po zarodku łysinki, zabrałem się w jego ślady, ospały z nawałem nadziei i zwątpień.

Ciekawem jest, że w trudnej wspinaczce staje się człowiek nerwowszym, a zewnętrznie spokojniejszym. Nie doszedłem jeszcze do Bacy. Spiętrzyły się płyty i pęknięcia aż groza patrzeć. I z tym trzeba się pogodzić. Ciągnę teraz pierwszy, biję z całym animuszem, robota idzie niemal sprawnie. Baca się rozśpiewał

miejscami przechodzi na operowe kawałki od czasu do czasu podaję mu jakąś nową nutę i niech nam ktoś powie, że wspinaczka to nie przyjemność. Człowiek słowem wyżywa się wszechstronnie. Wprawdzie nasze nuty pozostawiają dużo do życzenia, ale przecież nikt nas nie słyszy prócz jednego Mnicha, a ten przywykł już do wielu ludzkich słabości.

Zbliża się nieuchronnie przewieszka, która nawet podczas śpiewu zakłóca nieco spokój wspinaczki.

Proszę Bacę o chwilkę uwagi i trzema słabo wbitymi hakami przechodzę popod okapem ponad nią. Cieszyłem się, śmiesznem się to wyda, a jednak choć człek nie pierwszej młodości to jakby nie było, "wylazło się djabłu z worka". Teraz siedem metrów pęknięciem i balkonik osiągnięty. Radość obopólna, raz że Korosad przestanie pokpiwać, a po drugie będziemy sobie mogli rzec co nasze to nasze.

Po radości i okrzykach zagrzmiało. Otóż pogoda, która nas od jakiegoś czasu przestała interesować, nasunęła prawie nagle czapę czarnych chmur, przyniosła silny wiatr i czuło się w powietrz elektryczność. Wołam Bacę aby przyspieszył, co może. Wkrótce grube krople zaczęły padać. Wróżyło nagłą burzą. Błysnęło raz drugi, potem grzmot daleki. Deszcz już na dobre. Błysnęło jeszcze raz jaśniej, to coś nie w porządku, przywarłem do ściany, przykucnąłem, trzymam mocno liny, na których wisi Baca, instynktem wiedziony schyliłem od wypadku głowę, czekam, tak długo czekam, - raptem huk - przerażający huk, w którym zwinąłem się w kulkę, coś mną wstrząsnęło, jakby podniosło w powietrze i rzusiło o skałę, zdrętwiałem cały, poczułem przepływ olbrzymiej fali elektryczności, oniemiałem zupełnie, oczy widzą, ale nic nie czuję, nie czuję ciała, jedyna świadomość, to trzymać Bacę, który wisi na linach, i widzę teraz bloki olbrzymie z furkotem lecące ponad Bacę i na niego.

Moment wielkiego żalu, nieokreślonego żalu "co z Bacą". Milczenie dłuższe niż wieczność, huk głazów daleko w dole, naraz błyskawica teraz to już naprawdę po nas, niechaj już i tak będzie, byle prędzej, dusza zamarła, czekam uderzenia, polecimy trudno, byle tylko usunąć ten okropny strach, strach przed utratą życia. Łupnął krótko w Miedziane, co za rozkosz, co za szczęście. Odczułem teraz swe siało, usłyszałem głos Bacy, na który z początku nie mogłem dać odpowiedzi, dowiaduję się że

przeżył to samo co ja, szczęściem kamieniem nie dostał. Baca zostawia haki i przyśpiesza wejście. Z balkonika robimy dwa zjazdy na pn-wschód. Deszcz pada, jak za dawnych młodych lat. Nie czujemy go, jedyna myśl to uciec jaknajszybciej z tej ściany. Zmoczeni wystarczająco, ale cali, cali, chciało nam się krzyczeć z radości, wyrywaliśmy co koń wyskoczy.

Będąc po roku na Mnichu, poszliśmy zobaczyć miejsce, gdzie wyrżnął ten piorun. Okazało się, że 40 metrów ponad nami zrył do dna trawiasto skalistą dużą półkę, wyrzucił niemal wszystkie głazy i szybkim spacerem poszedł w dół.

Może to była ostatnia zemsta skradzionej ściany, jedynej w swoim rodzaju, która tak wiele sprawiała kłopotu. Mnich został pozbawionym jednej tajemnicy więcej, przyznamy, że warta była zachodu. Patrzymy teraz na sylwetę jego innemi oczyma, cenimy więcej niż przedtem, był nam symbolem zagadki, został symbolem walki. Mamy dla niego szacunek i gdy wkraczamy do M.O. to pierwsze spojrzenie biegnie w jego stronę i milcząco mówimy: witaj nam szczycie trwożnych przeżyć.



TECHNIKA HAKOWA

Wspinacz w ścianie może posiadać maksimum cztery punkty zaczepienia, a mianowicie ręce i nogi. Umiejętność i szybkość wspinacza opiera się na wrodzonych czy też nabytych zdolnościach operowania powyższemi członkami. Wspinaczkę taką nazywamy klasyczną. Ubezpieczeniem w klasycznej wspinaczce była i jest lina i hak. Pomysł haka był początkiem ewolucji wspinaczkowej. Hak był długi i gruby, ponacinany i z kółkiem. Należało w trudnym miejscu wbić hak kamieniem, który naprędce szukano lub niekiedy noszono, odwiązać się w pasie, przewlec przez kółko linę i z powrotem ją zawiązać.

Ta czynność zabierała trochę czasu i narażała na niebezpieczeństwo odpadnięcia. Potem dodano młotek, który zdał egzamin pomyślnie w końcu karabinek strażacki uzupełnił uzbrojenie wspinacza. Wszystko szło teraz sprawnie, życiu przestała grozić śmierć od upadku. Hak ratował sytuację, rozwiązywał najważniejszy problem ubezpieczenia, stał się odtąd pieczołowicie oglądany i niemiłosiernie wbijany.

Zaczęto chodzić po coraz to stromszych ścianach,kominach itd., i zauważono, że nie wszędzie da się wbić haka i że jego grubość i długość nie zawsze odpowiada spotkanym otworom, Powstały wobec tego haki od 5 cm. do 40 cent. długie o różnych kształtach jak np: płaskie, kwadratowe, z kółkami i bez kółek, rurki itd. Tak więc do wynalezienia różnych kształtów haków zmusiła wspinacza skała z jej szczelinami, pęknięciami, otworami, śnieg oraz lód. Ponadto każdy wspinacz poczuwał się do nieużywania haka jako chwytu czy stopnia, w myśl ideologii alpinistycznej, hak był tylko ubezpieczeniem i niczem ponadto. To było i jest czystem pojęciem wspinaczki klasycznej. Wiadomo, że miejsca trudne są ograniczone ilościowo w chwyty lub stopnie. Otóż chcąc wyrównać braki chwytów lub stopni, zaczęto używać haków. Z tą chwilą przestaje się mówić o klasycznej wspinaczce, tylko wejściach przy pomocy haków. Została więc wprowadzona technika hakowa, która z powodzeniem przyjęta, stała się nieodzowna w ścianach dotąd niedających się zdobyć klasycznie.

Dobrze wbity hak usposabia wspinacza jaknajlepiej, daje mu odprężenie i świadomość bezpieczeństwa. Aby słowo "dobrze" miało swe znaczenie trzeba umieć wbijać haki. Opiszemy to szcze-

góło wo i obrazowo, Po wetknięciu haka w szczelinę uderza się go lekko, potem uchwytuje młotek za koniec trzonka i dalekiemi uderzeniami / a nie drobnem pukaniem/ wbijamy na odpowiednią głębokość. Dźwięk haka jesk nam sprawdzianem dobrego wbicia. Głos matowy, głęboki, przechodzący w miarę wbijania w cienki jest dobrą oznaką. Zbyt wczesny cienki dźwięk dowodzi oporu.

Hak jest to kawałek żelaza kowalnego lub stali, względnie stopu białego, który został wyklapany na gorąco w odpowiedni dla wspinacza kształt. Zalety takiego haka powinny być następujące:

a/ nie powinien pękać przy uderzeniu,

b/ musi mieć określoną sztywność przy wbijaniu i wybijaniu

c/ nie powinien spłaszczać się w głowicy przy wbijaniu,

d/ budowę musi mieć mocną,

e/ kółka dobrze zaszweisowane względnie kute,

f/ próba dobroci haka powinna dać wynik dodatni, a mianowicie: przy trzykrotnem zgięciu do kąta około 90° i wyprostowaniu nie pęknie, w przeciwnym wypadku jest zły.

Przed wejściem w ścianę należy mieć haki wyprostowane. Umieszcza się je na karabinkach, a te na jednym większym, przypiętym w pasie. Cienkie haki umieszczamy przy jednym boku, grube przy drugim. Bierze się ponadto parę karabinków wolnych a w kieszeni mamy kilka mniejszych haków.

Wbijanie haków można ująć w kilka zdań dla przypomnienia:

1/ wbicie haka powinno być czynnością krótką i o ile możliwem staranną,

2/ hak należy wbijać założony na bezpiecznik, aby przy wbijaniu w razie odskoczenia nie odpadł,

3/ tak wbić, aby być przekonanym, że nie wyjdzie z otworu przy obciążeniu własnego ciała i przewidzieć siłę przypuszczalną wyrzutu wspinacza z pewnej wysokości,

4/ ocenić szerokość otworu i głębokość, a potem szukać odpowiedniego haka

5/ o ile możności wbijamy jak najgłębiej,

6/ wbijać nieco na prawo lub na lewo od wspinającego,o ile to możliwe. Zdarza się ze wbite w linji spadku haki przy odpadnięciu spinacza mogą spowodować zranie-

-nia,

7/ uważać aby nie wbijać w głębokie szczeliny z których nie będzie mógł wybić z powodu trudności młotkiem

8/ w wypadku gdy jednak hak słabo wbity, wbić drugi lecz nie za blisko bo powstałyby trudności przy wybijaniu,

9/ wbijać przede wszystkiem szczeliny mające kierunek skośny w dół,

10/ przed i po wbiciu haka starannie obejżeć i poklepać młotkiem skałę w otoczeniu otworu na hak, czy nie jest pękniętą,

11/ jeśli brak idealnego otworu na hak, wbija się w jakikolwiek otwór byle było choćby minimalne zabezpieczenie,

12/ po wbiciu haka należy go oglądnąć, czy nie jest pęknięty i czy kółko całe,

13/ jeżeli hak wbity głęboko wydłuża go się przez dodanie drugiego karabinka,

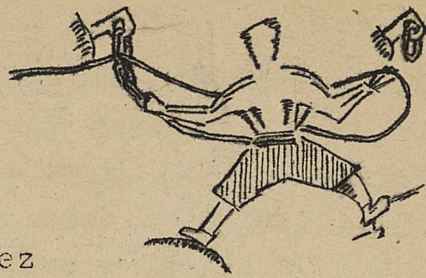
14/ karabinki zakładać tak, aby zamek znajdował się po stronie wspinającego, a nieprzylegał do skały, co powoduje niekiedy samorzutne otwarcie.

Pierwszą myślą i czynem po wbiciu haka jest założenie liny. Potem następują rozważania nad dalszą drogą. Decydować szybko nad sposobem pójścia i jeżeli klasycznie iść nie można, stosujemy podciąg. Podciąg jest to wspinaczka przy pomocy sztucznych ułatwień /dwie liny, haki, pętle/. Kolejność czynności przy podciągu jest następująca: wbija się hak, zakłada pętlę i linę, w pętlach się staje, doczepia się krótką pętlą asekuracyjną i powyższe czynności powtarza.

Oszczędzać należy siły przy podciągu i zwisnąć śmiało na haku o ile oczywiście dobrze wbity. Unikać stałego wyszukiwania wysokich chwytów. Pracować nogami jak najwięcej, tak w terenie klasycznym, jak i przy podciągu.

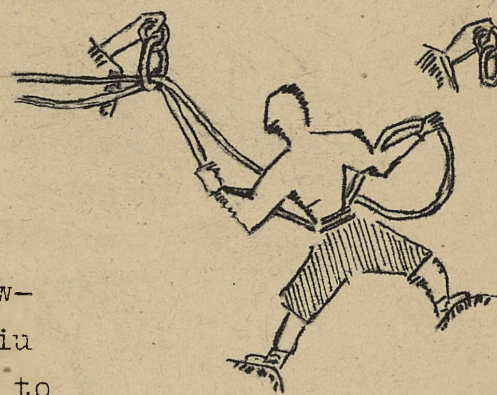
Pokonywanie trawersów przy zastosowaniu techniki hakowej.

1/ Trawers, na którym znajdują się stopnie, brak chwytów./jedna lina/



Wbija się hak przekłada linę,dochodzi do niego ściągany przez partnera. Czynność powyższą powtarza się za każdym razem zakładając pętlę krótką do haka,aby zwolnić linę i przepuścić przez hak następny.

2/ Trawers ze stopniami bez chwytów. /dwie liny/



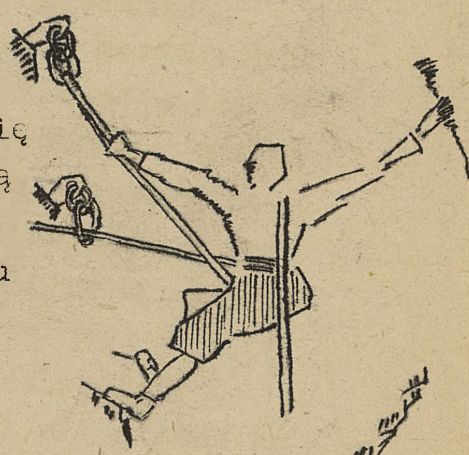
Celem przyspieszenia używa się dwóch lin.Pierwszy przytrzymawszy na jednej linie wbija hak i zakłada linę drugą, na której zostaje przyciąganym a pierwsza lina zwolniona.Przy takim przejściu niekorzystamy z pętli wogóle.Możliwem to jest jedynie wówczas gdy partner jest dobrze obeznany z użyciem dwóch lin.

3/ Trawers z brakiem chwytów i stopni



W tym wypadku zakłada się jedną linę dwie pętle na nogi,ubezpiecza krótką pętlą i przenosi pętle na następne haki. Linę prowadzi się jak pod nr.2

4/ Trawers z brakiem chwytów,stopni i otworów na haki



Jeżeli trzeba pokonać przestrzeń paru matrów gładkiej ściany,wówczas wbija się wysoko,hak zakłada na nim linę zjazdową i przesuwa w pozycji zjazdowej tarciem pantofli o ścianę do osiągnięcia chwytu względnie otworu na hak.

5/ Pokonywanie przewieszek.



Można pracować o jednej linie lub o dwóch.Korzystanie z dwóch lin jest praktyczniejszem ponieważ na jednej linie można być przyciąganym a drugą zakładać.Praca dla wspinającego najtrudniejsza.Wisi się w pozycji przechylonej i w takiej zakłada linę podciągającą,potem pętle,w których staje lub siada.Jeżeli są długie,można je skrócić przez przeniesienie karabinka poniżej

węzła w pętli.

Technika hakowa w zimie.

Stosowanie tejże techniki w zimie bywa analogiczne w zasadniczych ramach jak w lecie. W lecie używa się głównie haków długich, które w twardym lodzie oddają dobre usługi. W Tatrach nie spotyka się a przynajmniej bardzo rzadko gruby lód w ścianach. Głównie śnieg i skała przysypana śniegiem, tak że najczęściej bywa możliwem dobranie się do skały i wykorzystanie jej pęknięć. Jeżeli napotyka się oblodzoną do kilku centymetrów, to usuwa się lód i wbija haki w szczeliny. Jest to praca wymagająca dużo więcej wysiłku i czasu aniżeli w lecie.
Technika hakowa jest zatem umiejętnością dostosowania haków do terenu, celem ułatwienia przejścia. W głębokie szczeliny wbija się haki długie, w płytkie krótkie, aby o ile możliwe weszły najgłębiej. Unikać długiego ramienia haka. Znalezione stare haki zardzewiałe wypróbować paroma uderzeniami młotka.
W technice hakowej używa się najczęściej dwóch lin, które przyspieszają przejście i ułatwiają podciąg.
W Tatrach zostały wszystkie szczyty i prawie wszystkie ściany zdobyte klasycznie, zatem śmieszne jest chodzenie po ścianach już zdobytych z dwoma linami. Unikać należy przesady strzec się przed tym, nie wpadać w manię hakową, nie wbijać ich ponad miarę. Jeśli ktoś pragnie poćwiczyć, niechaj nie trenuje na klasycznych drogach tatrzańskich, są przecież wspaniałe tereny w dolinie Starych Szałasisk , Kościeliskiej itd. tam można bez wstydu wbijać dowoli, nie będąc widzianym ani słyszanym.
Niechaj drogi klasyczne będą takiemi jakie są i jak były zdobyte, nieziszczonymi i niemającemi z techniką hakową nic wspólnego.

K.P.



Zestawienie najważniejszych przejść tatrzańskich, przebytych przez Pokutników w 1945 i 46 r.

9.V.45	Mnich pn.ściana	Paully /samotnie/
18.VIII.45	Mięguszowiecki Szczyt pn.śc.	Hellerówna, Worwa
20.VIII.	Mięguszowiecki Szczyt pn.wsch. śc./Wariantem Szczuki/	Drojecka, Hellerówna, Paully, Łapiński, Worwa
22.VIII.	Żabi koń granią	Hellerówna, Paully, Szumski, Worwa
26.VIII.	Galeria Gankowa lewą częścią	Hellerówna, Worwa, Szumski
27.VIII.	Wysoka pn.śc.	Hrebenda, Worwa
27.VIII.	Nawiesista Turnia II przejście wsch.śc.	Hellerówna, Dobrowolski Paszucha
26.V.46	Żabi Mnich zach.śc.	Hellerówna, Paully
29.6.	Kozi Wierch pn.filarem	Hellerówna, Paully
29.6.	Zamarła Turnia pd.śc.	Hellerówna, Paully
30.6.	Kościelec zach.śc.	Worwa, Woźniak
2.7.	Niebieska Turnia pn.śc.	Worwa, Woźniak
15.7.-21.7.	Grań Tatr	Górka, Paszucha
1.8.	Mięguszowiecki Szczyt filarem	Siedlecki, Łapiński
7.8.	Durny Szczyt lewym filarem wsch.śc.	Piotrowski, Worwa
8.8.	Durny Szczyt wsch.śc.	Hellerówna, Paully
9.8.	Widły granią od Łomnicy	Hellerówna, Paully
10.8.	Grań Żabiego Mnicha	Nurnberg, Woźniak
11.8.	Mały Kieżmarski pn.śc.	Paully, Piotrowski
12.8.	Mięguszowiecki Szczyt filarem	Nunberg, Woźniak
15.8.	Ganek wsch.filarem	Piotrowski, Staszel, Worwa
17.8.	Wielicki Szczyt pn.śc.	Hellerówna, Piotrowski Kaz., Paully, Piotrowski J.
17.8.	Wielicki Szczyt lewą połacią pn.śc. częściowo nową drogą	Staszel, Worwa
19.8.	Batyżowiecki Szczyt pn.śc. na główny wierzchołek	Hellerówna, Piotrowski
19.8.	Batyżowiecki Szczyt pn.śc. na zach.wierzchołek	Staszel, Worwa
12.8.	Ganek wsch.filarem	Szumski, Woźniak

sierpień 1946	Zadni Gerlach pn.-zach.śc.	Żmijanka, Dobrowolski
	Zamarła Turnia pd.śc.	Krysa, Dobrowolski
	Mnich pn.śc.	Dobrowolski, Twardosz
	Żabia Przełęcz od pn. i Grań Rysów	Dobrowolski, Wróbel
	Widły pn.śc.	Dobrowolski, Sobolewski
	Czarny Szczyt pn.wsch.śc.	Dobrowolski, Sobolewski
	Cubryna pd.-wsch.śc. n.droga	Staszel,Dobrowolski

O Schroniskach

Na terenie Tatr mamy trzy schroniska, Hala Gąsienicowa.Morskie Oko, Roztoka. Schronisko w Pięciu Stawach Polskich zostało spalone w czerwcu 1945. Ma być odbudowane w 1947. Na Hali Gąsienicowej prowadzi schronisko Wójcik Zygmunt, doskonale zaopatrzone, czynne przez cały rok.
Morskie Oko to Mekka i Medyna, to miejsce pielgrzymów tłumów prowadzone bardzo dobrze przez Łapińskiego Czesława. Czynne cały rok. Roztoka to wypoczynkowe schronisko przez swe romantyczne położenie przyciąga tylko prawdziwych miłośników gór, pragnących spokoju, prowadzone przez Paszuchę Kazimierza. Czynne cały rok.

Z dolinek

Na terenie dolinek podkrakowskich staraniem Klubu Wysokogórskiego P.T.T. pod kierownictwem ob.Fryderyka Kędziora został zorganizowany kurs wspinaczkowy, przy udziale 12-tu uczestników. Kurs ten trwał przez przeciąg ośmiu niedziel i dał uczestnikom praktyczne podstawy do taternickiego wejścia w Tatry w zakresie umiejętności posuwania się w skale, operowania liną, użycia haków oraz techniki zjazdów.
Ponadto przez sekcję Turystyczną T.S. Wisła został również zorganizowany kurs wspinaczkowy jako wstęp do kursu taternickiego w Tatrach. Kurs ten trwał jednak znacznie krócej niż wzmiankowany wyżej, tymniemniej i on spełnił swe zadanie.
W ogólności przede wszystkim z wiosną, dolinki rozbrzmiewały przez wszystkie niedziele głosami turystów, a częsty dźwięk wbijanego w skałę haka dowodził, że taternicy nie zapominają o treningu przed właściwym sezonem i z góry się doń przygotowują. Dolinki spełniają swoje zadanie.

-ooOoo-